

Popularność nie ma prawdziwej wartości

Z ANNA DYMNA rozmawia Andrzej Leśniewski

- Czy wyobrażenie o zawodzie aktorki, o pracy w filmie, w teatrze wytrzymało u Pani zderzenie z rzeczywistością?

- U mnie wytrzymało. Dlatego że ja nigdy nie chciałam być gwiazdą, a nawet aktorką. Kiedy byłam młodą dziewczyną, wydawało mi się, że to jest najcięższy zawód na świecie. Nigdy nie pociągało mnie to, żeby być w punkcie zainteresowania, żeby się ludzie na mnie gapiłi, żeby myśleli, że jestem wspaniała i piękna. Byłam zawsze bardzo wstydliva i wydawało mi się, że gdybym musiała tak zdawać egzaminy przed ludźmi i to codziennie na scenie, tobym zwariowała.

Kiedy zostałam już tą aktorką i zaczęłam się mierzyć z tym wszystkim, to bardzo mile się rozczarowałam.

- Czy trudno jest pani nosić brzemień osoby publicznie znanej?

- Już w tej chwili nie sprawia mi to większej trudności, jakkolwiek ma to różne strony i oblicza. W pewnym momencie dowiadujemy się, że taka popularność nie ma żadnej prawdziwej wartości. Nauczyłam się z tym żyć i nie zważać na to, że ludzie na ulicy się na mnie gapią, że mówią o nas nieprawdopodobne rzeczy, ja już to wszystko wiem i mam do tego zdrowy dystans. Środki masowego przekazu są niesprawiedliwe, dziennikarze wobec nas zachowują się okropnie, zerując na naszym życiu i pisząc o nas głupoty. Mam taką naturę, że zawsze się uśmiecham i niczemu nie zaprzeczam, staram się unikać rozmów z Wampirami i tym podobnymi „dziennikarzami”, bo uważam, że to jest poniżej godności ludzkiej. Zapelnianie takich potrzeb w postaci omawiania, plotek albo zadawaniu kłamu jakimś idiotycznym pomówieniom kompletnie mnie nie interesuje. Ludzie i tak będą sobie mówić, co chcą. Człowiek nie lubi patrzeć się na własne życie, więc lubi się babrać w innych i sobie coś wymyślać. Popularność również łączy się z innymi obciążeniami, z różnymi funkcjami społecznymi. Niektórzy złośliwi ludzie mówią: o, wszędzie się pcha, zbiera te pieniądze, a ja odpowia-

dam: przecież ty też możesz postać sobie i też pozierać.

- Otrzymuje pani setki listów, nawet pani mąż nazwał panią zjawiskiem socjologicznym...

- Tak. Te listy są niezwykle ciekawe dla socjologa, bo one jak gdyby są obrazem naszego społeczeństwa. Ludzie piszą w nich o tym, co czują, jak sobie nie radzą w nowej rzeczywistości. Dostaję setki listów z prośbą o pomoc pieniężną wręcz szantażujących mnie, że mam natychmiast zapłacić trzy, cztery tysiące za prąd, kupić jedzenie, kurtki, futro - to jest na porządku dziennym, ale piszą też ludzie bezradni.

Są to ludzie chorzy, często śmiertelnie, którzy myślą, że ja im pomogę i to jest dla mnie okropnym obciążeniem.

Dostaję listy od ludzi z więzień, którzy nie mają do kogo napisać. Moja przyjaciółka psycholog mówi „ty tego w ogóle nie czytaj, bo zwariujesz”, no ale jeśli jest coś do mnie napisane, to jak mam nie czytać. Tak więc z tą popularnością łączy się strasznie dużo dziwnych zjawisk, z którymi my musimy sobie na co dzień radzić.

Kiedy idę ulicą przez Kraków, w którym mnie chyba lubią, bo będąc aktorką z trzydziestoletnim stażem czuję się już takim smokiem wawelskim, to słyszę, że jestem gruba, że jestem chuda, że dobrze wyglądam, że źle wyglądam, jestem świetnie lub źle ubrana itd. Trzeba mieć do tego absolutny dystans. Niektórzy nie wiedzą nawet jak się nazywam, ale mnie znają.

- Napisano o pani, że jest pani gwiazdą, którą można spotkać w tramwaju, w sklepie...

- Ponieważ jestem zupełnie normalnym człowiekiem, dlatego mogę ten zawód uprawiać. Nie mam w sobie nic z gwiazdy i nie znoszę sytuacji, kiedy facet w banku nie może zrozumieć, że ja nie chcę być specjalnie obsługiwana, bo ja lubię sobie postać w kolejce, bo wtedy obserwuję ludzi. Lubię czasem wsiąść do tramwaju i zobaczyć, co tam słychać, lubię jeździć na rowerze, iść do sklepu, żeby zobaczyć, gdzie żyje i wśród jakich ludzi żyje.

- W swoim życiu doświadczyła pani wielu cierpień zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Czy ogólnie jednak los był dla pani łaskawy?

- Mam dwie ręce, dwie nogi i ciągle gram mimo swoich lat. Ciągle się uśmiecham, nie mam w sobie żadnej goryczy, więc mogę się poczuć najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Osiągnęłam pewną harmonię, równowagę psychiczną i mam dziecko, czyli najważniejsze, co chciałam mieć. Umieję to dostrzec i myślę, że jest wielu tak szczęśliwych ludzi jak ja, tylko nie chcą tego zauważyć. Równie dobrze mogłabym w sobie znaleźć same nieszczęścia i mogłabym panu powiedzieć wręcz odwrotnie o swoim życiu, ale ja tego nie chcę widzieć, chcę widzieć to dobre. Kiedy mamy odwrotny stosunek do życia, to wszystko jest niedobre, wszystkiemu się nienawidzi, deszcz pada - to jest okropnie, słońce świeci - to jest też okropnie.

- Podobno syn Michał bardzo odmienił pani życie.

- Odmienił, bo życie zaczyna mieć dopiero wtedy sens, kiedy zaczyna się żyć dla kogoś innego. Michał uspokoił mnie, czuję się naprawdę potrzebna, nie mam poczucia zagrożenia, które miałam wcześniej. Mimo że nigdy nie histeryzowałam, ale ten zawód jest taki, że w każdej chwili można stać się zupełnie niepotrzebnym i samotnym. Takich przypadków są tysiące, a dziecku przez jakiś czas na pewno będę potrzebna, a potem, jak mi się uda być jeszcze jego przyjacielem, a nie tylko matką, to będę mu potrzebna całe życie.

- Czy to prawda, że nie lubi pani bywać?

- Nie mam na to siły, poza tym to jest kompletnie nieinteresujące. Dostajemy setki zaproszeń na wernisaże, promocje, otwarcia itd. Moglibyśmy nic nie kupować, tylko jeść, pić i w ogóle żyć za darmo, ale to nie ma żadnej wartości. Owszem, czasem zdarza się spotkać kogoś bardzo miłego, ale zwykle to jest tak, że stoję na środku sali, podchodzą do mnie setki osób, zadają mi pytania i nikt nie czeka na odpowiedź. Ja tak z otwartymi ustami stoję zdziwiona,



Zdjęcie: archiwum

chcę odpowiedzieć, ale ten ktoś już poszedł komuś innemu zadać pytanie. Takie spotkania kompletnie mnie nie interesują, bo jak chcę sobie z kimś porozmawiać, to go zapraszam do domu albo idę do niego.

- Podobno to, że ma pani tak oryginalną urodę, ma źródło w tym, że ma pani ormiańsko-litewsko-węgierskich przodków, czy tak?

- Moja prababka była Ormianką, a pradziadek był Węgrem. Pamiętam, że kiedy się złościł - to mówił w okropnie dziwnym języku. Kiedy pojechałam na Węgry do Miklosza Janczo robić filmy, to okazało się, że mam naprawdę zdolności językowe, bo zaczęłam mówić po węgiersku po dwóch tygodniach.

- Buduje sobie pani własny domek?

- Od pięciu lat buduję domek pod Krakowem, na takim wzgórzu, skąd widać cały Kraków. Jest tam pięknie jak w bajce. Domek już stoi i powoli go urządzamy. Największą moją radością jest ogród, chociaż na skale dość trudno uprawia się rośliny. Już rosną dziesiątki drzewek, krzewów i bylin. Tam jest moje miejsce na ziemi. Nie chcę tam wpuszczać dziennikarzy, bo nie wszystko jest na sprzedaż. Potrzebuję mieć takie swoje miejsce, gdzie nikt z kamerą jeszcze nie był. Przychodzą czasami dziennikarze z różnych mediów i mówią: „Niech pani pokaże pani stół, sypialnię, toaletę, muszlę klozetową itd”. Rozumiem ciekawość ludzi, ale to będzie moje miejsce na świecie i ja tam nikogo nie wpuszczę.